

Czyżewscy klezmerzy¹

Jestem prawnukiem klezmerskiej rodziny Ritholców w Czyżewie. Jednak moje wspomnienia ledwo obejmują dziadka bp. reb Gedalję klezmera, którego jako chłopak prowadziłem codziennie do bejt midrasza na modły.

Przy okazji warto wspomnieć, że z naszej rodziny byłem pierwszy i chyba jedyny, do którego zwracano się w Czyżewie po nazwisku – Ritholc. To jednak miało miejsce dopiero w latach I wojny światowej 1914–18. Do tego czasu nie byłem wyjątkiem i tak jako to było w zwyczaju w innych miasteczkach zwracano się po imieniu taty, dziadka lub teścia czy teściowej, a nawet żony i często używając nazwy fachu lub zajęcia.

Mojego bp. dziadka zwano Gedalja klezmer, mojego bp. tatę – Icl klezmer, a mnie znano jako Abraham-Josef syn Icla klezmera. U chrześcijan byłem znany jako „Gedalczuk” po dziadku.

I chociaż zarówno mój dziadek jak i mój tata oraz prawie cała rodzina zarabiała na swoje biedne życie zegarmistrzostwem, tzn. naprawianiem zegarów, to nazywano ich „klezmerami”.

Za to ja, mimo że od dziecka pomagałem tacie przy muzykowaniu, a później zdobyłem też poważniejszą wiedzę w dziedzinie muzyki, co zawsze wykorzystywałem do celów rozrywkowych oraz społecznych jak organizowanie i prowadzenie orkiestry przy żydowskim teatrze, nie otrzymałem przydomka „klezmer”. Być może było tak, ponieważ nie było to moje zajęcie zarobkowe.

Mój dziadek pozostawił czterech synów i jedną córkę. Wszyscy zajmowali się klezmerstwem. Granie muzyki nie starczało nawet na suchy kawałek chleba, a ponieważ w każdej rodzinie było po kilkoro dzieci, to każdy miał dodatkowe zajęcia.

[581]

Moja babcia, niech spoczywa w pokoju, sprzedawała na jarmarkach i targach ciasteczka, które sama wypiekała. Mój ojciec i wujkowie zajmowali się naprawą zegarów. Jednak miasteczko i jego okolica nie wystarczało, by dało się wyżywić dużą rodzinę zegarmistrza, dlatego czasem zdarzało się też głodować.

¹ Kolejny fragment obecnie tłumaczonej w ramach projektu NPRH „Księgi pamięci gminy żydowskiej w Czyżewie” – przekład Aleksandra Król, red. M.K. Frąckiewicz.

Nie mając innego wyjścia, rodzina klezmerów zaczęła się rozpraszać. Najstarszy z braci, Welwl, przeniósł się do Ciechanowca i razem ze swoimi dziećmi stworzył tam kapelę. Najmłodszy, Aaron, wyjechał do Zambrowa i również założył tam orkiestrę złożoną ze swoich ludzi oraz wynajmowanych. Mój ojciec oraz jego brat, Jidl, pozostali w Czyżewie i zarabiali, robiąc obie rzeczy (klezmerstwo oraz zegarmistrzostwo), co ledwie starczało, by obie rodziny głodowały przez większość dni w tygodniu. Tak było, dopóki wuj Jidl nie wyjechał w końcu do Ameryki.

Mój ojciec został w Czyżewie. Stworzył kapelę i przez wiele lat był jednym zegarmistrzem. Do kapeli należały następujące osoby: mój ojciec Icl – pierwsze skrzypce, Icchak klezmer – drugie skrzypce, bra Icchakla, Melech oraz mój najstarszy brat, Aaron Dawid – trąbka, piszący te słowa – klarnet lub flet, Aron Lejbl i Icie (obaj tragarze) grali na basach, Josl syn Daniela – na bębnie.

Wiele lat później orkiestra uległa znacznemu zmniejszeniu. Pozostali tylko dwaj skrzypkowie i ja wspomagałem ich na klarncie. Bębniarzami byli wolontariusze spośród dorosłych bezrobotnych młodzieńców.

W latach rozkwitu wspomniana wyżej orkiestra grywała na miejscowych weselach i rzadziej na innych uroczystościach w okolicznych miejscowościach jak: Andrzejewo, Zaręby czy Sokoły, nawet na balach w okolicznych dworach szlacheckich i na wiejskich weselach. Często zdarzało się, że teść z pobliskiego miasteczka czy wsi z różnych powodów zapomniał przysłać wóz, aby zabrać klezmerów, wtedy cała orkiestra wyruszała na piechotę (zapłata za granie nie wystarczała, by zapłacić za wynajęcie wozu).

Na balach, gdzie wymagano więcej muzyki, wynajmowano grajków z innych miast, nawet z Białegostoku.

Spośród wszystkich zarówno komicznych jak i poważnych epizodów, które przydarzały się na wiejskich weselach oraz balach opowiem jedynie o dwóch. Pierwszy epizod dowodzi, że przy całej swojej prostolinijności mój ojciec posiadał siłę panowania nad sobą.

Wydarzyło się to w niedalekiej wsi Sutki. Pewnego pięknego letniego popołudnia zostaliśmy zawiezieni do dworu, aby zagrać na balu. Pod gołym niebem, wśród kwiatowych alei rozstawiono bogato zastawione stoły, serwowano rozmaite owoce, słodycze, drogie czekolady, bombonierki i [583] różne napoje. Na wybranych stołach ustawiono wędzone i pieczone mięsa, które mocno drażniły nasze wygłodzone apetyty, aż nam zapierało dech.

Służba wiedziała, że Żydzi nie jedzą razem z chrześcijanami przy jednym stole. Spytano nas, czy mają nam przygotować oddzielny stół? Nie czekając na mojego ojca, który poszedł gdzieś odmówić modlitwę popołudniową, zgodziliśmy się na tę propozycję.

Ale kiedy siedzieliśmy już przy stole zastawionym kurczakami duszonymi na maśle oraz innymi smakowitymi mięsami i już byliśmy gotowi zabrać się za jedzenie, nagle otworzyły się drzwi i pojawił się mój ojciec. Trudno powiedzieć, jak długo trwała cisza, w której siedzieliśmy wszyscy jak zamurowani ze strachu. Niespodziewanie mój ojciec zaczął krzyczeć nieludzkim głosem:

- Macie wyjść! Goje, trefniacy! Będziecie żreć trefne? Wynocha, wynocha!

Kapela szybko się rozbiegła, niektórzy nawet wyskakowali przez okno i... musieliśmy się zadowolić chlebem i masłem, jajami na twardo i herbatą, które ojciec przygotował, kiedy siedzieliśmy przy trefnym stole.

Żadnemu z nas nawet nie przyszło na myśl, aby sprzeciwić się postępowaniu mojego ojca.

Mój ojciec był przez 40 lat klezmerem w Czyżewie, ale z powodu antysemityzmu, który rozwinął się w Polsce oraz antysemickich hecy organizowanych przede wszystkim w rejonie Czyżewa, zaprzestano brania żydowskich klezmerów jak on na chrześcijańskie bale.

Historię, o której teraz opowiem, słyszałem od mojego ojca, kiedy byłem dzieckiem. Chociaż nie jestem zwolennikiem spirytualizmu, opowiem ją, bo przez powagę, z jaką ojciec przekazywał tę historię, tak mocno wryła się ona w moją pamięć.

„Kiedy mój dziadek był jeszcze całkiem młody, zaraz po ślubie, w pewien wieczór po zakończeniu szabatu przyszło do niego dwóch elegancko ubranych szlachciców i powiedziało, że chcą, aby zabrał swoją kapelę i pojechał z nimi na bal odbywający się tego wieczora. Podali nazwę wsi, której mój dziadek nie znał. Jednak zgodził się i zebrał towarzyszy.

Wsiedli do pięknej karety zaprzęgniętej do trzech koni i po pół godzinie jazdy dotarli do wspaniałego dworu, gdzie było już wielu gości. Muzykantów zaprowadzono do olbrzymiej sali tanecznej, gdzie pary zaczęły już tańczyć.

Nagle dostrzegli, że tańczą ludzie, ale mają kurze stopy. Na muzyków padł strach, jednak nie za bardzo wiedzieli, jak się z tego wykręcić. Grali dalej, ale ustalili między sobą, że nie wezmą do ust żadnej rzeczy.

[585]

Musieli grać przez kilka godzin, bo tańczące pary nie chciały przestać.

Zbliżała się już północ, kiedy przyszli dwaj szlachcice, którzy ich tam sprowadzili, i powiedzieli:

„- Jesteśmy bardzo zadowoleni z waszej gry. Jak chcecie, żebyśmy wam zapłacili – złotem czy kurzymi odchodami?”

„- Złotem” – odpowiedział przestraszony dziadek.

Wtem rozpętała się potężna burza, zrobiło się ciemno i nagle wszyscy znaleźli się w błocie, w środku lasu. Skrzypce wisiały na drzewach, a pudła na skrzypce były wypełnione odchodami. Z wielkim trudem zdjęli skrzypce z drzew i zmęczeni, i ubłoceni ledwo dotarli do domu.

W szabat wszyscy poszli do bejt midrasza, żeby się modlić i odmówić błogosławieństwo *Gojml*².”

Jeszcze przed I wojną światową w moim zakładzie fryzjerskim, który prowadziłem w domu reb Jeszaji Gorzalczanego a potem u Pesacha Turowicza lub jak go zwano Pesacha sołtysa, zorganizowałem kursy muzyki.

Najbardziej uzdolnieni spośród uczestników kursu byli: Szmuelke Wengorz, zamordowany przez hitlerowskie bandy; syn Mojszla Litmana, zastrzelony przez Polaków; Icie Lubelczyk, zmarły w Syrii; pozostały przy życiu Symcha Gromadzyn, obecnie w Ameryce. Po moim wyjeździe z Czyżewa to właśnie on przejął prowadzenie orkiestry grającej dla żydowskiego teatru.

Mojemu tacie i moim pradiadkom zawdzięczam całe duchowe dziedzictwo, miłość do muzyki, która przetrwała u mnie do dzisiejszego dnia. Mój ojciec, jego trzech bracia oraz siostra zmarli w zaawansowanym wieku w „złotym kraju”, jakim jest Ameryka.

Niech pamięć o nich będzie błogosławiona.

² *Gojml*, hebr. *Birkat ha-Gomel* – błogosławieństwo, modlitwa odmawiana po uniknięciu niebezpieczeństwa, pokonaniu choroby (przyp. tłum.).